

Pierwsza Dama polskiego kajakarstwa

Z Izabellą Horodecką rozmawia Mateusz Zarembowicz

Izabella Horodecka od najmłodszych lat interesowała się sportami wodnymi. Z powodu odniesionych ran w czasie Powstania Warszawskiego nie mogła powrócić do sportowego uprawiania wiosłarstwa. Po wojnie odkryła jednak drugą pasję – kajakarstwo turystyczne. Będzie to ciekawa opowieść, która przeniesie Was we wspaniały świat przygód kajakowych.

Proszę powiedzieć, jak się zaczęła Pani przygoda z kajakami?

Przed wojną byłam wiosłarką. Ćwiczyłam w warszawskim Akademickim Związku Sportowym. Tam zaczęłam pływać na łodziach sportowych. Szło mi na tyle dobrze, że nawet pływałam w kategorii skiff.

W niedziele pływaliśmy rodzinie; braliśmy łodzie z AZS-u i płynęliśmy w górę Wisły. Jedliński obiad w pływającej restauracji, szliśmy na spacer i wieczorem wracaliśmy do domu. W 1933 r. wyjechałam na Śląsk i naturalnie przygoda z łodziami się skończyła. Brakowało mi tego wszystkiego. Przed samą wojną wróciliśmy do Warszawy. W czasie okupacji brałam czynny udział w akcjach przygotowywanych przez podziemie. Pod koniec Powstania Warszawskiego zostałam ciężko ranna w rękę, w efekcie czego miałam całkowicie wyrwany łokieć.

Stąd ta odmienna technika wiosłowania?

Tak, już nie mogłam wrócić do wiosłarstwa. Strasznie jednak dalej ciągnęła mnie woda. Marzyłam, żeby móc jeszcze pływać i kiedyś przypadkowo w miejscowości, w której spędzałam wakacje,



Pierwszy spływ na Krutyni, 1952 r.



Spływ na 90. urodziny. Na zdjęciu ze Zbigniewem Zielińskim. Warta, 1998 r.

zobaczyłam przycumowane kajaki. Wsiadłam do jednego i spróbowałam. Udało się, tylko musiałam trzymać wiosło nie klasycznie, a jedną ręką od dołu.

Czy pierwsze spływy, na jakie Pani wyjeżdżała, były imprezami zorganizowanymi? Jak to wyglądało w tamtych czasach?

Na początku lat 50. wstąpiłam do PTTK. W 1952 r. organizacja ta zaczęła organizować tzw. tramwaje wodne. Jedną z pierwszych tras był odcinek między Piszem a Spychowem. Miałam znajomego, z którym rozmawialiśmy o turystyce kajakowej i zaproponowałam mu wyjazd na taką imprezę. Nie było łatwo dostać się na takie wczasy, ale jako że ja w tamtych czasach dużo pracowałam społecznie dla PTTK, to nie miałam większych kłopotów z dostaniem się na spływ.

Nie obawiała się Pani o rękę? Przecież taki dwutygodniowy spływ to nie trzy kilometry po jeziorze.

Oczywiście, powiedziałam znajomemu o kłopotach z ręką, ale on stwierdził, że nie mam się co obawiać. Mam wiosłować tyle, ile mogę. Jednak okazało się, że przez te dwa tygodnie nie miałam z nią najmniejszych kłopotów, pomimo ciągłego wiosłowania.

W kolejnym roku też był spływ?

Tak, od tego momentu w każdej wolnej chwili jeździłam na spływy. Następnego roku była Wda, później Jeziora Augustowskie, Brda. Tak bardzo wciągnęłam się w kajaki, że odbyłam masę wycieczek, nie tylko w Polsce.

Liczyła Pani kiedyś, ile kilometrów przepłynęła?

Osobiście nie, ale mój kolega policzył dokładnie moje spływy i okazało się, że jest to 13.500 km. W tym czasie zdobyłam odznaki TOK każdego możliwego stopnia. Spełniałam też wszystkie warunki, by ubiegać się o odznakę ICF (Międzynarodowa Organizacja Kajakowa), ale jakoś nigdy się tym nie zainteresowałam.

Imponujące. Wiem, że pływała Pani nie tylko po rzekach nizinnych.

Pierwszym moim trudniejszym spływem była Ropa. Płynęłam wtedy jedyneką. Tam już trzeba było mieć pewne umiejętności – chociażby właściwego czytania wody. Gdy napływało się na trudniejszy odcinek, trudno się było na początku zorientować co do drogi płynięcia. Należało wyjść z kajaka i obejrzeć miejsce z brzegu, najlepiej od dołu. Wtedy wszystko stawało się oczywiste. Do wychodzenia najlepsze były odpowiednie buty. Musiały być na tyle długie, by mogły ochronić kostkę; chodzenie po śliskich kamieniach nie było zbyt bezpieczne. Tego samego dnia płynęłam też po Wiśloce. Pamiętam taki moment, gdy za zakrętem słychać było potężny szum wody. Kolega, który płynął obok poszedł przodem, by sprawdzić co się tam dzieje. Dopłynął do tego miejsca i dał znak ręką, że wszystko jest w porządku. Wzięłam rozpęd i zaczęłam się kierować do miejsca, w którym wydawało mi się, że będzie warkocz. Okazało się, że żadnego warkocza tam nie ma, tylko dwa ostre zakręty jeden po drugim. Napływałam naprawdę szybko i w efekcie musiałam wyskoczyć, gdyż nie byłam w stanie pokonać tego „esu” przy takiej prędkości. Za mną płynął Henryk Leibschang. Stałam przy kajaku, do którego nalewała się woda. Wiosło zawsze miałam w rękę, zwracając szczególną uwagę, by go nie zgubić. Leibschang zaczął krzyknąć, że tarasuję drogę, więc

postanowiłam rzucić się w wodę i spłynąć wplaw trzymając się kajaka. Gdy przepłynęłam, przyszedł i pomógł mi wylać wodę.

Opowiada Pani o niebezpiecznych sytuacjach na górskiej rzece. Czy stosowaliście wtedy jakieś kamizelki asekuracyjne?

Takich kamizelek jak teraz w tamtych czasach niestety nie było. Używaliśmy bardzo niewygodnych kapoków, nadających się bardziej do siedzenia niż do pływania, ale oczywiście w trudnych miejscach nikt nie narzekał, tylko zakładał je na siebie.

To może teraz porozmawiamy o spływach zagranicznych?

Bardzo dużo pływałam po rzekach byłej Jugosławii. Ale też po Adriatyku. Z rzek był Wardar, Ibar, Drina, Dunaj i wiele innych. Ibar był bardzo trudny. Pamiętam jak płynęliśmy, a z brzegu ludzie krzykali, że tu się nie da płynąć. W pewnym momencie wpadliśmy na taki duży kamień. Zaklinowaliśmy się i zaczęło nas wyracać. Leibschang krzyczy na mnie – zarabiaj prawym wiosłem! A jak ja mogę to robić, gdy stoimy ukosem, a ja wyciągniętym najbardziej na prawo wiosłem przyjmuję całą kolosalną falę? Patrzę, a tu sam prąd nas zaczyna powolutku prostować. Widzę, że za chwilę będzie wszystko dobrze i będziemy mogli z tego kamienia spłynąć, a on wciąż woła – zarabiaj. Ja wiem, że nie mogę tego zrobić, bo gdy tylko wiosło z tego warkocza wyjmę, to od razu nas wyrzuci. No i jakoś udało nam się z tego kamienia spłynąć.

A co z Adriatykiem? Mnie się kojarzy bardziej z wielkim jeziorem niż z morzem, w lecie praktycznie prawie nigdy nie widuje się na nim fali...

Pływałam koło Korculi, mieliśmy tam piękną pogodę, świeciło piękne słońce i – tak jak mówisz – nie było nawet jednej większej fali. Cała nasza gromadka spokojnie płynęła, a ja, pamiętam, nawet sobie manicure robiłam. Za Korculą nagle w nas dmuchnęło, zrobiły się naraz fale. I dosłownie tak nas chwycił ten wiatr, że Leibschang tylko na mnie krzychał: – Z prawej mocno, z lewej mocno! – a on przecież taki wspaniały kajakarz i zawsze słuchałam go uważnie. Ten okropny wiatr rozproszył nas wszystkich po całej zatoce i każdy na własną rękę ratował się jak mógł, aby szczęśliwie dopłynąć do brzegu. W jednym z naszych kajaków urwała się linka od steru. Baliśmy się, że mniej doświadczeni nie dadzą sobie rady, ale wszyscy dopłynęli szczęśliwie. Wtedy zastanawialiśmy się, czy nie powinniśmy płynąć z osłoną jakiegoś stateczku, chociaż to było naprawdę między wyspami i bardzo blisko do brzegu.

Czy to prawda, że pływała Pani w Iraku?

Naturalnie. To było w latach 60. Pewnego dnia, w Turcji, spotkaliśmy ambasadora polskiego, który jechał z żoną i szoferem z Iraku do Paryża. On się bardzo nami zainteresował i przeraził, że chcemy nocować w namiotach i pływać Tygrysem i Eufratem.

Rozmawiał z kierownikami naszej wyprawy i poinformował ich o niebezpieczeństwie ze strony skorpionów, które mogą nas atakować w namiotach.

A jak będziemy pływać, to się zarazimy bakterią bilhatria, która momentalnie wnika przez skórę do organizmu i atakuje nerki i wątrobę. Trochę się przestraszyliśmy. Kilka dni później spotkaliśmy naszych archeologów prowadzących wykopaliska w Palmirach. Oni nas uspokoili, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa i oni sami często korzystają z namiotów. Kiedy już w Iraku rozbiliśmy obozowisko, jeden z kolegów natknął się na białego skorpiona, który nie jest niebezpieczny, bo gryzie nie mocniej niż osa. Ponieważ miałam sznurowany namiot, profesor Ranachowski zaproponował, że zaklei mi wejście plastrzem. Rano pojechaliśmy do Bagdadu i naturalnie zaczęliśmy spływ na Tygrysie. Bardzo ostrożnie wchodziliśmy do kajaków, uważając by nie zamoczyć nawet koniuszków palców. Inne panie nie zdecydowały się płynąć. Tygrys jest podobny do Wisły, tylko przy brzegach co i rusz spotyka się złote kopuły meczetów z rzeźbionymi pięknymi minaretami.

Jakie panowały temperatury?

To był sierpień, więc było bardzo gorąco i panowie zdecydowali, że pomimo tych wszystkich zagrożeń wykąpią się. A że ja jestem jedyną kobietą, to muszę popłynąć troszeczkę dalej, bo oni chcą się kąpać bez kostiumów (nic nie wzięli na przebranie). Popłynęłam troszkę dalej i pomyślałam sobie, że też się wykąpię. Wykąpałam się i zaczęłam się zastanawiać czy uda mi się uniknąć zarażenia. Wieczorem rozbiliśmy namioty i zabraliśmy się za gotowanie pożywienia. W pewnym momencie poczułam okropne pieczenie nóg. Myślę sobie – no tak, wykąpałam się – wyjmuję latarkę, świecę i widzę, że całe nogi mam czarne od meszek. Zostałam bardzo silnie pogryziona, ale na szczęście udało mi się tego nie drapać. Kilka osób, którym nie udało się powstrzymać, miało bardzo wielkie kłopoty i już w Warszawie musiało się poddawać skomplikowanemu zabiegom.

A Eufrat?

Właśnie, po kilku dniach płynęliśmy Eufratem, było jeszcze bardziej gorąco niż na Tygrysie. W ciągu kilku godzin wypilałam całą wodę, którą miałam przygotowaną na cały dzień. Na szczęście trafiliśmy do stancji i udało nam się kupić arbuza. Okazało się, że nic tak nie gasi pragnienia jak właśnie arbus.

Może na koniec opowie Pani czytelnikom o wywrotkach?

Było ich kilka. Taka ciekawa przydarzyła mi się w 1984 r. na Drawie. Pilotem na tym odcinku był Gienio Kuśmierz. Dopływaliśmy do wielkiego zwalonego drzewa. Gienio płynął przede mną i mówi, żeby płynąć na prawo, więc ja kieruję się za nim, myśląc, że jest możliwość przepłynięcia w koronie. Tymczasem Gienio dobija do brzegu. Ja chcąc zrobić to samo, mocno skręcam i natrafiam na małą wiszącą gałązkę. To wystarczyło, żebym się wyrw-



Zimowy spływ Łasicą, 1974 r.

ciła. Trafiam pod kajak, mam trudności z wydostaniem się spod niego, zabiera mi to sporo czasu, a prąd cały czas znosi mnie na przeszkodę. Trzymam w ręku wiosło, opierając się o konary. W tym momencie na plecy wpada mi kajak i przyciska mnie całym swoim ciężarem. Zostaję zaklinowana w gałęziach i nie mogę się ruszać. Na szczęście uwolniłam się z tego potrzasku i szczęśliwie dotarłam do brzegu. Koledzy zajęli się moim kajakiem. Ostatnią wywrotkę miałam na Stupii. Stupia jest strasznie zawalona. Płynęłam z panem Andrzejem Stecem, patrzę i widzę sterczącą przed kajakiem olbrzymią belkę. Pytam się, którą stroną ją omiemy. Niestety, pan Andrzej popłynął prościuterko na nią i nic już się nie dało zrobić. Wywracam się, wiszę pod kajakiem i w żaden sposób nie mogę się z niego wydostać. Zaczynam się krztusić, ale na szczęście kilka osób odwróciło kajak. Okazało się, że wiosło jakimś nieszczęśliwym trafem dostało się jednym piórem pod kokpit i zamknęło mi drogę wyjścia z kajaka. Gdyby nie pomoc, to bym utonąła, nie udało by mi się wydostać.

Kiedy ostatni raz Pani pływała?

W roku 2001, miałam już wtedy 93 lata i płynęłam Bugiem na odcinku Janów – Drohiczyn. Myślę, że to był ostatni mój spływ. Szkoda...

Dziękuję serdecznie za sympatyczną rozmowę, życzę Pani w imieniu czytelników, przede wszystkim dużo zdrowia.

Dziękuję serdecznie.

WIOSŁO



Iza Horodecka rozmawia ze Zbigniewem Błażejewskim. Spływ z okazji 1000-lecia Gdańska.